



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rs. 7 kop. 20; półrocznie rs. 3 kop. 60; kwartalnie rs. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska № 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartalnie flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Wizya idealizmu.

I.

Zesłał ku mnie jak marzenie
W chwili cudnych snień,
Jak wiosniane świeże technienie,
Zeszedł do mnie jak marzenie
Twój błękitny cień!..

Był to wieczór piękny, cichy:
Róże niosły woń,
Lilje zgięły swe kielichy,
Wieczór piękny, jasny, cichy
Owiał moją skroń!..

A na niebios tło błękitne
Zeszedł miesiąc—król,
Sny tęzowe, nieuchwytnie,
Jakieś jasne i błękitne
Tehnęły z cichych pól!..

Wieniec gwiazdek modro-złoty
Wśród przestrzeni drgał,
Powiał dziwny duch tęsknoty,
Wieniec gwiazdek modro-złoty
Marzeń zdrój mi włzał!..

II.

Popłynęła piosnka drżąca,
Na uśpioną błoń,
Jakaś smutna i gorąca,
Popłynęła piosnka drżąca
Hen... w podniebną toń!..

Zesłał ku mnie w tej godzinie
Kiedy serce drży,
Kiedy piosnka uczuć płynie—
Zesłał do mnie w snów godzinie:
Z ocz mych starłaś łzy!..

Byłaś wtedy bardzo jasną,
Biały miałaś strój,
Lśniące oczy, co nie gasną,
Byłaś piękną, cudną, jasną,
Mgiel cię owiał zwój!..

I ująłem swoją dłonią
Twą rzeźbioną dłoń,
I owiałeś mię róż wonią
I musnąłem swoją dłonią
O twą jasną skroń!

Hymnem marzeń się modliłem
Do twych jasnych szat,
Oczy w serce twe wświeciłem—
I do Ciebie się modliłem,
Widząc w tobie świat!..

— Słuchaj drogi, rzekłaś dumnie,
Gdzież są blaski zórz?..
Dziś świat cały leży w trumnie,
Słuchaj, rzekłaś cicho, dumnie,
Serce mi swe złoży!..

— Gdy w królestwo wejdiesz moje,
Czarną zerwiesz nić,
Co oplotła serce twoje
I królestwo tylko moje
Da ci w szczęściu żyć!..

W tem zniknęłaś za błękity
Jak cudowny sen,
A jam w smutek upowity,
Gdzieś ku niebu, gdzieś w błękity
Leciał... płynął — hen!..

Tak, zniknęłaś wśród przezroczy,
A jam został tu,
Jednak jasne twoje oczy
Tak podobne do przezroczy
Widzę wciąż wśród snu!..

I wciąż tęsknię i wciąż szlocham,
Myślą mknę w twój świat,
Bo odczuwam go i kocham,
A więc tęsknię, a więc szlocham,
Jak wśród mogił kwiat!..

Zygmunt Różycki.

Ruch kobiecy w Norwegii.

Pisarz francuski R. Rémusat w jednym z ostatnich zeszytów „Revue Hebdomadaire” zamieszcza parę ciekawych szczegółów o obecnym stanie kwestyi kobiecej w najbardziej postępowym kraju skandynawskim — w Norwegii. Ruch kobiecy w krainie fiordów jest jednym ze skutków tego ogólnego prądu, jaki dał się odczuć w całej Europie po wypadkach francuskich w 1848 r. Norwegia, niezależna pod względem politycznym od r. 1814, pod względem umysłowym w ciągu całej pierwszej połowy XIX wieku była pod silnym wpływem Danii — kraju przesiąkniętego ongi niemieckimi poglądami społecznymi. Paru wybitnych pisarzy, pierwszy Vergeland, później zaś Björnson, Ibsen i inni — są twórcami ruchu umysłowego norweskigo. Ibsen w sztuce swej „Podpory społeczeństwa” napiętnował ciasnotę pojęć wyższych klas norweskich i dotknął poniżonego stanu kobiety. Barwnie nader pisane romanse i powieści pani Kamilli Collette zaznajamiają nas z niezbyt wesołym losem kobiety norweskigoj w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Córki zamożnych mieszczan otrzymywały tylko początkowe wykształcenie, klasa urzędnicza, na ogół wzięta niezamężna, lecz która po rewolucyi w r. 1814, po zniesieniu stanu szlacheckiego stanęła na wyższych szczeblach drabiny społecznej, dokładała wszystkich usiłowań, aby dać wykształcenie swym synom, córki zaś jej zajmowały się wyłącznie tylko szyciem i kuchnią. Małżeństwo było jedyną karierą dla pań — tym zaś, którym nie udało się wyjść za mąż, sądzonem było spędzać całe swe życie w domu rodziców; po ich śmierci czekał niezamężne kobiety „łaskawy chleb” u krewnych.

W klasie bogatych kupców nieustannie stosunki handlowe z Anglią rozwinęły upodobanie do pewnego komfortu i wywołały pewien — chociaż początkowo jeszcze bardzo słaby — ruch umysłowy. Nie wpłynęło to jednak bynajmniej na poprawę losu kobiety i wpływ jej nie sięgał po za kuchnię i pokój dziecienny — za każdym razem, gdy usiłowała rozszerzyć pole swej działalności, spotykała się z surową bardzo krytyką całego społeczeństwa.

Niejaka pani Schandorf, bezdzietna kobieta, która całe życie swe postanowiła poświęcić celom dobroczynnym, założyła w r. 1831 „Instytut Eugenii”, dokąd miały być przyjmowane dziewczęta, niemające środków utrzymania; w jednym z pism norweskich zwróciła się ona do swych współrodaczek, wzywając je do składek na swój instytut, który otrzymał nazwę na cześć królowej Eugenii, małżonki Karola XIV. Na wezwanie pani Schandorf zapatrywano się jako na nieliczące z powołaniem kobiety i filantropka ta długo musiała walczyć z niechęcią społeczeństwa, zanim udało się jej swój zamiar doprowadzić do skutku.

Prawodawstwo norweskigo było bardzo surowe względem kobiet: panna, mężatka, wdowa przez całe swe życie były uważane za niepełnoletnie — za znajdujące się pod opieką ojca, męża, brata lub syna. Synowie brali ze spadku po rodzicach dwa razy większą część jak córki. Poczynając od r. 1845 w kodeksie zaczęto zaprowadzać pewne zmiany dodatnie pod tym względem: przyznano, na przykład, córkom te same prawa do spuścizny po rodzicach co i synom, kobietom zaś niezamężnym i wdowom pozwolono samodzielnie zajmować się handlem i rzemiosłami. W r. 1863 powstało prawo, mocą którego panna po ukończeniu 25 lat staje się pełnoletnią — w parę lat później prawo to uzupełniono, postanawiając, że kobieta również jak i mężczyzna, dostępuje pełnoletności w 21-ym roku życia.

Około r. 1866 ukazało się w tłumaczeniu norweskigo dzieło Milla „O kobiecie”. Pod wpływem tej książki wśród kobiet bardziej wykształconych rozpoczął się pewien ruch i w r. 1875

jedna z nich panna Hanna Hansteen wygłosiła w Chrystjani parę odczytów pod tytułem: „Kobieta stworzona jest na obraz i podobieństwo Boskie”. Postępowanie prelegentki wydało się niewłaściwym i dało tylko złośliwym i niechętnym powód do drwin i z niej samej i z kwestyi kobiecej. Jeden z profesorów uniwersytetu również miał odczyt, w którym kobietę nazwał śpiącym mężczyzną. Co zaś do kobiet to nawet i te, co czytywały ukradkiem romanse Georges Sand, przelewały się rewolucyjnymi poglądami swej rodaczki.

Doszło do tego, że panna Hansteen musiała opuścić Norwęgję i dopiero po powrocie do ojczyzny w r. 1889 mogła się przekonać, iż w ciągu tych 14-tu lat poglądy jej wyrobiły sobie pewne uznanie w społeczeństwie i że Norwegia w rozwiązaniu kwestyi kobiecej wyprzedziła wiele innych krajów europejskich. Zupełnie specjalne przyczyny spowodowały ten szybki postęp: w Norwegii ludność kobieca znacznie przewyższa męską — na tysiąc mężczyzn wypada aż 1092 kobiety, pewna więc część kobiet nie może wyjść za mąż, a wrodzony ludzom pociąg ku niezależności każe im szukać różnych dróg; na których niezależność tę mogłyby zdobyć; dróg tych szukają aporezywie i gorliwie, co wywołało ironiczną uwagę pewnego profesora, który wyraził się, że „kobieta to kurz — wszędzie przeniknie.”

W r. 1884 w klubie studenckim odbyło się liczne zebranie stroników ruchu kobiecego; zebraniu temu przewodniczył Chatcherup, który został właśnie pierwszym ministrem i niejednokrotnie wyrażał zdanie, iż prawa cywilne kobiet i mężczyzn winny być najzupełniej zrównane. Na zebraniu tem jedna z uczestniczek wyłożyła żądania kobiet norweskich — śmiało jej wystąpienie nie ściągnęło na nią tych przykrości, jakich ongi doznała pani Hansteen. W rok później powstała w Chrystjani „Związek kobiecy” za przykładem stolicy poszły i miasta prowincjonalne; od r. 1888 wychodzi pismo, poświęcone wyłącznie sprawom ruchu kobiecego.

W ciągu 20-tu lat od r. 1879 do 1899 kobiety norweskigo dobiły się stopniowo prawa wstępowania do różnych zakładów naukowych średnich i wyższych, jako to do uniwersytetu do królewskiej szkoły sztuk i rzemiosł, do pięciu szkół przemysłowych, otrzymujących zapomogę rządową, do szkoły handlowej i do szkoły gospodarstwa wiejskiego — prócz tego kobiety zajmują liczne posady w biurach pocztowych, telegraficznych i telefonicznych, w zarządach kolei skarbowych, w instytucjach finansowych i bankach. Dziewczęta otrzymują obecnie to samo wykształcenie co i chłopcy, gdyż wszystkie dzieci kształcą się razem po szkołach. Kobiety norweskigo mogą być obecnie nauczycielkami w szkołach początkowych, mogą wstępować do seminariów nauczycielskich oraz być inspektorkami państwowych szkół ludowych; w r. 1884 nadano im prawo, na mocy którego mogą składać egzaminy na stopień doktora każdej nauki — nie udzielono im jednak prawa zajmowania stanowisk, wymagających dyplomu doktorskiego. Do klubu studenckiego studentki zostały dopuszczone dopiero po usilnej walce, a w r. 1890 jedna z nich została nawet wybrana na członka zarządu tegoż klubu.

Jak dotąd około 150 kobiet otrzymało stopień bakałarza, wszystkie mniej więcej kandydatki do dyplomu doktorskiego uczęszczają na medycynę. Kobiety lekarki znajdują się we wszystkich prawie miastach norweskich. W r. 1872 jedna z kobiet, która ukończyła nauki za granicą, zdała egzamin na dentystę; musiano przeprowadzić w parlamencie nowe prawo, aby dać jej możność zajmowania się praktyką — dzisiaj jest już w Norwegii do dwudziestu kobiet dentystek. Wiele kobiet również uczy się farmacji, ponieważ w r. 1894 pozwolono im pracować w aptekach.

Kobiety norweskigo długo bardzo nie korzystały z prawa zajmowania się rzemiosłami; dotąd jeszcze właściciele zakładów przemysłowych niechętnie przyjmują robotnice, utworzyło się już

jednak kilka syndykatów: szwaczek, robotnic w fabrykach zapalek, służących i t. p.

W wielu miejscowościach Norwegii istnieją szkoły ogrodnicze, do których uczęszczają uczniowie i uczennice, wiele kobiet na własną rękę prowadzi hodowlę drobiu i królików, rozwiniętą na szeroką skalę. W „Banku Norweskigo” w Chrystjani siedm kobiet zajmuje wyższe stanowiska, w „Banku Hypotecznym” kobieta jest naczelnym kasjerem, na jednej z dróg żelaznych pięć kobiet pełni obowiązki naczelnika stacyi.

To wszystko nie wyczerpuje listy działalności kobiecej, gdyż uczestniczą one w różnych specjalnych komitetach: jak np. w komitecie reorganizacyi szkół, wchodzą w skład rad gminnych, opiekujących się opuszczonymi dziećmi, w radach tych prócz miejscowego pastora, lekarza i sędziego uczestniczy zawsze 2—3 kobiet.

Zachęczone takim powodzeniem kobiety norweskigo nie spoczywają bynajmniej na laurach, lecz idą wciąż naprzód: pragną one uzyskać jeszcze prawo pracowania po szpitalach i w komitetach higienicznych, mieć głos doradcy w sprawach dotyczących robót publicznych i dostaw rządowych, być członkami towarzystw naukowych, miewać prelekye i t. p., chcąc nadto otrzymać dostęp do administracyjnych, sądowych i profesorskich godności, wymagających dyplomu doktorskiego. Niedawno rząd wypracował projekt prawa o dopuszczaniu kobiet do niektórych posad, do których „one, jak przypuszczać należy są zdolne;” projekt ten ma wszelkie widoki, że uzyska zatwierdzenie parlamentu.

W r. 1888 wyszło prawo, na mocy którego, w razie istnienia intercyzy, kobieta może mieć majątek, niezależny od męża i może sama rozporządzać swym zarobkiem.

Obecnie kobiety norweskigo dobijają się usilnie praw wyborczych, pierwsze kroki ku temu poczynił przed 17-stu laty burmistrz z Chrystjani Berner; w 1889 r. do Stortingu wniesiony został odpowiedni projekt, lecz Storting odrzucił go większością 15-stu głosów; ten sam los spotkał ów projekt w latach 1893, 1895 i 1898 nawet założone w r. 1888 „Stowarzyszenie obrony praw wyborczych kobiety” nie nie pomogło. Członkowie tego stowarzyszenia rozdzielili się na dwie partie: jedna żąda przyznania kobietom wszystkich praw wyborczych, druga zaś zgadza się na pewne ustępstwa; Storting ostatni odebrał siedm petycyi w tym względzie. Z początku tylko „lewica” zgadzała się na żądania feministów, obecnie niektórzy członkowie prawicy przychylają się ku nim i przypuszczać należy, iż niezadługo kobiety norweskigo uzyskają nowe i ważne zwycięstwo.

Cały obecny system wychowania wykształca w kobietach norweskich męską energię; Ameryka pod wieloma względami służy im za pouczający przykład: udaje się tam bohaterka dramatu Ibsena „podpory społeczeństwa”. Lena Hessel powróciwszy z tamtąd, usiłuje wnieść w społeczeństwo, przesiąknięte zabobonami i kłamstwami konwencjonalnemi ducha swobody i prawdy. Do Ameryki też pojechała panna Hansteen, gdy nie udały jej się próby z pierwszymi odczytami i po powrocie swym została przyjętą z zapalem przez wszystkich stronników sprawy kobiecej. Mieszkanki Norwegii nie ustępują amerykankom ani pod względem energii, ani pod względem zaufania we własne siły, są głęboko przekonane o ogromnym wpływie cywilizacyjnym kobiet i nie zwracają żadnej uwagi na drwiny.

Trudno w istocie wskazać jaką bądź kwestyę czy to społeczną czy też dotyczącą moralności do rozwiązania której kobiety norweskigo nie przyczyniłyby się. Z gorliwością szczególną przyjmują one udział w pracach „towarzystwa ochrony obyczajów” oraz w licznych stowarzyszeniach trzeźwości. W życiu religijnem kraju kobiety odgrywają również pierwszorzędną rolę, pomijając już Armię Zbawienia, liczącą w Norwegii bardzo dużo członków. Większość kobiet norweskich jest zdania, że ponieważ mężczyźni

rzadko chodzą do kościoła i wogóle mało poświęcają się sprawom religijnym, przeto zajmować się nimi jest obowiązkiem kobiet. Na tem polu kobiety działy wiele: w r. 1898 ministerium wyznań dopuściło kobiety starsze nad lat 25 do udziału w głosowaniu w sprawach dotyczących zmiany wynagrodzenia duchownych i opiekują się one również misjami, pomagając im materialnie i moralnie. „Stowarzyszenie chrześcijańskie kobiece”, związane dziesięć lat temu liczy obecnie w całej Norwegii bardzo wielu członków, a wydawany przez nie dziennik należy do najbardziej rozpowszechnionych.

Główny organ „feminizmu” norweskigo Związek kobiet norweskich podtrzymuje ruch kobiecy częstymi odczytami i pogadankami. Dzięki zabiegom tego stowarzyszenia rząd przeznaczył 3000 marek na budowę pawilonu pracy kobiecej na wystawie w Chicago. Zarząd związku urządza kursy higieny i gospodarstwa domowego, organizuje stowarzyszenia spożywcze i t. p.

Niedawno kobiety norweskice przyłączyły się do międzynarodowej ligii pokojowej i zawiązały oddzielne stowarzyszenie, mające na celu przygotowywanie dozorczyń dla rannych i chorych.

Kobiety pracujące w Norwegii można podzielić na dwie kategorie: na pracujące dla kawałka chleba i na pragnące tylko zdobyć sobie niezależność moralną i materialną. I jedne i drugie zapatrują się na małżeństwo jako na stan, pociągający za sobą dotychczas wielką zależność.

I w rzeczy samej położenie rodzinne kobiety skandynawskiej różni się bardzo od położenia kobiet innych narodowości, gdzie kobieta jest panią domu i ogniska rodzinnego. Jak wspomnieliśmy już, w krajach skandynawskich, kobiet jest więcej jak mężczyzn, a położenie ich przeto gorsze niż gdzieindziej.

Oto dla czego kobiety norweskice wystąpiły tak stanowczo przeciwko silniejszej połowie rodzaju ludzkiego. Ibsenowska Lena Hessel, zwracając się do mężczyzn, którzy uważają się za podparcie społeczeństwa, powiada: „wy pogardzacie nami, gdyż zdaje się wam, żeśmy niezdolne do niczego” — i oto, idąc za przykładem Leny postanowiły kobiety norweskice pokazać do czego są zdolne. Czy pracują nad muzyką lub malarstwem, czy też uczą się medycyny, czy też udawszy się na odludny brzeg fiordu lub do ustronnej wioski górskiej uczą czytania włościańskie i rybackie dzieci — wszystkie pracują swą usilując osiągnąć ideał niezależności, a przeszkody, jakie napotykają na tej drodze, nie zrażają ich bynajmniej... „chcemy stać się ludźmi wolnego kraju” — powiadają.

Kobiety norweskice podejmowały niedawno Ibsena w 70-tą rocznicę urodzin sławnego tego dramaturga, twórcę postaci Nory, która czuła w sobie dość siły do zrzucenia więzów konwencyonalnych kłamstw. Teściowa Ibsena Magdalena Töresen, ceniona w Norwegii autorka, która w tym roku skończyła lat 80, powiada, że zadanie współczesnej kobiety polega na dążeniu do zupełnej swobody i odpowiedzialności, na równi z mężczyzną, za wszystkie swe postęпки. Ze słów powyższych sędziwej autorki widzimy, że „feminizm” norweskiki z pola walki o jednakowe prawa z mężczyznami, przechodzi stopniowo na inny grunt, gdyż dąży do moralnego podniesienia kobiety.

W.

SARYUSZ.

WIEŻY DUCHA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

I nieraz wybiegała ku niemu Halinka, wtedy on ujmował ją za rękę i wiódł w las ciemny

w milczeniu głębokim: bór bo im szumiał, przyroda grała odwieczną pieśń życia. A oni szli w jakimś ekstatycznym upojeniu, kołysani tą pieśnią, pochłonięci tym czarem, owiani tem technieniem. Czasem na wzgórzu zatrzymywali się, aby wzrok nasycić kryształem wody, co zdala w słońcu toczyła i przelewała istne topazy, opale i dyamenty i odetchnąć powietrzem szerokich rozlogów i łąk kwiecistych i zbóż u stóp lasu falujących; wreszcie kładli się na ziemi i w tym rozszepczanym, kołysanym wiatrami, a pełnym migotliwych świateł, mroków i cieni boru, ojciec wtajemniczał dziecko w to bujne życie przyrody, lub opowiadał, o bohaterach, deklamował arcydzieła mistrzów w cieniu boru, albo poprostu snuł jej cudne baśnie i legendy. Tu na tem pysznym tle w ustach takiego mistrza, w wyobraźni takiego dziecka, każdy bohater wydawał się większym, i wznioślejszym każdy czyn, dźwięczniejszą każda pieśń.

A dziecku gorzały marzycielskie oczy, paliła się główka, a serduszek biło w zachwyceniu.

Bobusz Sokolnicki artystą był, artystą każdą fibrą swego ciała, każdym drgnieniem swojej duszy. Była to dusza helleńska, dusza pogani-greka.

Nawet w miłości dla dziecka tkwił ten pierwiastek artystyczny. Kochał on Hanię szalenie, a kochał tem więcej, że swą przepyszną urodą zadawała jego zmysł estetyczny i potrzebę piękna.

Pewnego dnia wracał z pola do domu. A był to jeden z tych cudnych dni letnich, słonecznych, rozśpiewanych, życiem pulsujących, w których człowiek zachwycony, przejęty, czuje się szczęśliwszym i lepszym i radby wszechświat ująć w ramiona i do przepełnionego uczuciem serca przycisnąć.

Słońce rzucało dokoła snopy promieni, rozsypując się w iskry od błyszczących metalowych kul zdobiących klomby dziedzińca, łamiąc się w czarnych oczach dziewczynki, wspartej o filar ganku i mieniając w złocistych jej kędziarach.

Cudną była dziewczynka ta gorącym światłem obłana, a tak w myślach pogrążona, że nie usłyszała kroków swego ojca i nie odczuła jak ten stanął jak wryty olśniony jej urodą.

A w nim na widok dziecka drgnęła dusza artysty i cześć dla piękna wezbrała mu w sercu, zajaśniała w oczach, więc patrzył w dziecko błyszczącymi oczyma i myślał w uniesieniu radośnym...

— Tylko dziewczynka może być tak piękna! Chłopak byłby to zawsze niesmaczny urwis z zamorusaną twarzą, brudnymi rękoma i w zawalonym ubraniu, byłoby to zawsze hałaśliwe, nieestetyczne stworzenie, tylko dziewczynka może być tak poetyczną i uroczą. A piękna kobieta — to cud, arcydzieło stworzenia, to najpiękniejszy twór przyrody. Piękna kobieta — to najdźwięczniejsza harmonja, to poezja wcielona, to pieśń nad pieśniami...

Ale Hania nagle spostrzegła ojca i poruszyła się pod tym wzrokiem zachwyty.

On przytrzymał ją i zawołał.

— Nie poruszaj się, dziecko, stój tak w tem słońcu! Gdybyś ty wiedziała jakaś ty piękna!

Odsunął się nieco i patrzył, a oczy mu się śmiały wielkimi rozradowaniem artystycznego upojenia. Poczem ogarnęła go wielka tklivość, on duszę własną odgadł w dziecka oczach, więc przytuliwszy ją do siebie, mówił począł:

— Ty, Haniu, najwyższy zakład naukowy skończysz. Nie pożałuję ci na zagranicę, na uniwersytet, choćbym miał ostatni surdut z siebie sprzedać. Bo słuchaj, rozkosze nieba to nic innego tylko: poczucie sił własnych, tylko zrozumienie celu istnienia, zagadki bytu, tylko pełna świadomość własnej wartości, własnej duchowej przewagi. A męka piekielna, to ta niemoc właśnie, to ta bezsilność, to ta zawiść, że nigdy duchom wyższym, duchom wybranym nie sprostasz, to ta nieudolność i ciemnota, co cię robi małym i grzesznym.

— Jeśli chcesz niebo to mieć: ucz się. Ale droga doń ciernista i wysoka. I nie na radość, nie na wesele, nie na śmiech i swobodę lecz na cierpienie pójdziesz. Bo im duch wyższy, tem żywiej i tem więcej cierpi. Lecz niechaj świętem, niechaj błogosławionem będzie cierpienie takie!

— Przyjdą do ciebie ludzie i wyśmieją cię i powiedzą: „Alboż nauka kobiecie potrzebna? Miłość w kask Minerwy stroić się nie zwykła.” Ty ludziom nie wierz, Halinko. Jeśli mężczyzna rozumny i wart kochania, on ducha w tobie szukać będzie, a tego ducha podniosłego tylko nauka dać może. A jeśli on umysł twój lekceważyć będzie, a więc najlepszej twej cząstki, bo ducha twego nie ukocha, pogardź taką miłością, dziewczyno, bo on ciebie tylko sobie weźmie na zabawę, a sprzedawać tak siebie — hańbą jest.

— Przyjdzie do ciebie matka i powie ci: Na co nauka? Kobiety przeznaczeniem za męża iś i dzieci chować. Ale ty matce twej nie wiesz. Nie dość jest dziecko wychować, lecz trzeba z niego zrobić człowieka, a na to trzeba takich wysiłków umysłu, serca i ducha, o jakich nie sniło się biednej matce twojej.

— A może ty sama odsądzisz się od tych rozkoszy, może ty sama zmieszasz się z tym młotem, z tą tłuszcza ciemną o grubych instyktach, bez żadnych duchowych potrzeb, bez żadnych subtelnych uczuć i kark zegniesz pod jarzmo codziennej troski i tylko w nią zapatrzona zostaniesz. Od tej malej, szarej, codziennej troski gdybym ja cię zbawić mógł, o Haniu moja, gdybym ja mógł! Bo ona jest tem dla umysłu, czem najzjadliwszy mikrob choroby, czem rdza dla żelaza, czem zgnilizna dla ciał organicznych, ona mózgi osłabia, gnębi, przytępia i toczy jak robak zniszczenia...

Dziewczynka słuchała ojca z oczyma rozszerzonymi, z widocznym w nich wysiłkiem myśli i zdumienia. To co rozumiała, zachwycało ją lub przerażało; ale jak zwykle w takich razach bała się odezwać.

A Sokolnicki ciągnął.

— Kocham ludzkość — powiedział jeden uczony — bo stworzyła wiedzę. Nauka da ci pewność siebie i śmiałość, warunki niezbędne w każdym przedsięwzięciu, powie ci, jak pracować pożytecznie, nauka uczyni cię szlachetną, bo:

Za każdym krokiem w tajniki stworzenia,
Coraz się więcej dusza rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg.

— Tak, dziecko moje, nauka, a potem praca pożyteczna, oto dewiza twojego życia. A nad naukę i pracę pożyteczną niema nic większego, ani świętszego na świecie.

— Praca i nauka, to nie wszystko moje dziecko. — zabrzmiał łagodny głos pani Maryi i ręka jej spoczęła na główce dziewczynki — ważniejszą jest: wiara i miłość. Módl się i kochaj Boga i ludzi kochaj, Halinko.

Żrenice dziewczynki zajaśniały myślą i zapalem, znać było, że mała ta główka pracuje i że przed nią jakieś nowe, nieznane powstają światy. Błyszczącymi oczyma patrzyła to na ojca, to na matkę, wreszcie rzekła z dziecinną logiką: — To śliczne co tatuś mówi... i ja... ja wszystko rozumiem... ale ja kocham mamusię.

Matka zarumieniła się z radości, pochyliła się nad dzieckiem, a ono rzuciło jej się w objęcia.

Na ten widok twarz Sokolnickiego stała się groźną, oczy błysnęły złowrogo, żyły krwią nabiegły. Zdało mu się, że ta kobieta, co wzięła mu już sławę, przyszła mu teraz odebrać jego ostatnie największe kochanie, że skazi swym oddechem to cudne dziecko, w które on duszę swoją przelewał, że w to jego ostatnie, najpiękniejsze i najukochańsze dzieło tchnie ducha popospolitości i przesądów.

I ogarnęła go szalona rozpacz i niemal nieprzytomny z gniewu, odsunął ją od dziecka tak gwałtownie, że nieprzygotowana na to, zachwiała się i upadła, ale wnet się zerwała i zaczęła uspokajać wystraszoną dziewczynkę.

— To nie... to nie... takam niezgrabna, potknęłam się o schodki...

A Sokolnicki zdumiał, choć wiedział jak anielską, przebaczącą i pobłażliwą była jego żona.

I tak upokorzyła go jej dobroć, że wyszeptał zawstydzony:

— Kto ciebie nauczył być aniołem?

A ją za te pierwsze słowa uznania radość ogarnęła wielka. Podniosła na niego oczy jasne, przejryste a słodkie i rzekła z przedziwną prostotą:

— Miałam dobrą matkę, Bohuszu...

Pewnej niedzieli pani Marya odmawiała modlitwy głosem cichym a monotonnym, a Hania powtarzała je za nią w miną znudzoną i senną.

Nagle drzwi się otworzyły i ukazał się pan Bohusz mierząc je zdumionym wzrokiem.

— A co to? — zapytał wreszcie.

Pani Marya drgnęła wystraszona i podniosła nań swe łagodne oczy.

— Modlimy się — odparła — dziś niedziela.

Po twarzy jego przemknął cień niesmaku.

— Więc to ma być modlitwa? — rzekł z ironją — to pańszczyzna chyba.

Rzucił się na kanapę. Oczy jego padły na wionoczele. Bezwiednie sięgnął po nią i grać począł.

I zapłakały tony nutą jakiejś dzikiej fantazyi, która szalała nieokiełznana jak jego dusza, a potem rozplynęła się w cichej, rzewnej, kołyszącej melodyi walca, jednego z tych waley, co spływają zwykle do duszy wspomnieniem wszystkiego, co drogiem nam było: więc lat naszych dziecinnych i świętą matki postacią i pasmem złoty marzeń młodzieńczych i dają lzy ukojenia, choć już prześnione budzą sny...

Skończył... a oczy miał jeszcze promienne, natchnione, a twarz bardzo bladą.

Pani Marya przestała czytać modlitwy i powstała, ale dziewczynka z kolan się nie podniosła, źrenice jej jaśniały w zachwyceniu, a małe usteczka drżały od wzruszenia.

— Tatusiu — odezwała się wreszcie — ja czuję pieśń tę, którą mówiłeś do mnie, i dobrą chęć być, dobrą tatusiu!...

— Więc módl się teraz i módl się tak zawsze: duszą wzniesioną i przyspieszonym biciem twego serca, módl się czynem dobrym i myślą poczciwą. O duszę prawą i szlachetną, bo szlachetność wszystkie w sobie enoty mieści, o myśl jasną, o myśl — znamię człowieka — módl się...

IV.

„Podnieście w górę czoła niechaj eicha
Święta noc pieśni naszymi oddycha,
Budźcie sny w śpiących, których trud,
[przygniata
Sny żyjącego w waszych piersiach świata.
W państwie poezji — prawdy panowanie,
Otwórzcie kościół — niech się światło
[stanie!]

Chamisso.

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże! — odparł pan Bohusz trzymając w ręku złocisty snop zboża, który kładł na wóz i z uśmiechem zwrócił się ku niemłodej, ale czerstwej, poczciwej twarzy przybyłego sąsiada.

— Cóż to sąsiad przy takiej pracy? Najemnika dostać nie możecie?

— Owszem mam ich dosyć jak pan widzisz, ale... czy uwierzycie sąsiedzie, mnie się zdaje, że ta ziemia moją miłością i pracą ożywiona łaskawszą i wydajniejszą mi będzie.

Gość się zaśmiał.

— Faramuszkii, sąsiedzie. Czyż ona was zna, albo czuje?

— Tak... zapewne... to gruby antropomorfizm, a jednak... spojrzycie no dokoła, sąsiedzie. Czyż nie mówi do was ta malowniczość pól i mozaika łąków i falowanie zboża i szum boru i szelest topoli i szare łono ziemi.

— Oj niepoprawny z was poeta. A toż mó-

wi, mówi, bo nam wyciska pot z czoła, a rodzi oset i głogi.

— A to swoją drogą. Ach te układy i waśnie z chłopami, rachunki, terminy, spłaty, prośby o prolongatę, staranie się o kupca na zboże, targi z żydami, pilnowanie niesfornej służby, to wszystko — męka.

— I gdybyż to tylko sąsiedzie, ale długi, długi, towarzystwo, podatki.

— A przytem codziennie Hiobowe wieści. Upadki, straty, zależność od pogody, od fantazyi robotnika, od roku suchego lub mokrego i te terminy niezliczonych rat, spłat, no i te ciągle rosnące długi.

— A no widzicie, a wy się w poezje, w kochanie bawicie.

— A jednak sąsiedzie, kto wie czy nie przez tę mękę właśnie ta ziemia coraz cenniejszą mi się staje. Bo im więcej wkładam w nią staroganych sił i straconych złudzeń, tem zespalam się z nią więcej i to mi złości najgorszy trud.

— I gadaj że tu z sąsiadem. No, ale darujcie, z was gospodarz nigdy nie będzie. Takich marzycieli ziemi nie potrzeba. Ot panu by lepiej poświęcić się nauce lub sztuce, bo to przecież widoczne, że pan jest artystą. Pan chyba musi tworzyć, panie?

— Nie, sąsiedzie — sztuka wymaga techniki, czasu, pracy, a mój, czas, moje wysiłki należą do tego szarego prochu, który mi wzamian nie obiecuje, i nie daje, ale wszystkie te cuda, o jakich śniła tylko sztuka, kryję w swem łonie.

— No to i ja panu przyznaję, że natura bliższą jest serca niż sztuka i lepiej doń przemawia. Ja tam sobie z tego tak sprawy nie zdaję, ale to wiem, że nie wyżyłbym w mieście choćby mi mój dom w jakie muzeum sztuk pięknych zamieniono.

— A widzisz pan i powiem wam, że jednak w tym moim szmacie ziemi nie tak może pracę ojców i własną mękę, nie tak kolebkę mego życia miłuję, jak tę jej żywotność i poezję szerokich łąków i ducha wolnych przestworów i wszystkie dary powietrza i słońca.

— No, ale ja tu gawędzę z sąsiadem a na jarmark czas okrutny. A może i sąsiad ze mną pojedzie?

— Nie. Ja nie znoszę jarmarków.

— To źle, to bardzo źle. Co mi wart taki obywatel, co nie bywa na jarmarkach. Jarmark to panie dobrodziejku dla obywatela pierwszy posterunek po kościele. Ale sąsiad jak mi się zdaje i w kościele nie bywa. Coś tam proboszcz bardzo o to utyskuje.

— Powiedz pan proboszczowi, aby się tem nie martwił, bo modłę się tu pod odkrytem niebem do tej oto matki-ziemi, a w mieszkaniu do Wenus Miłońskiej.

— Co? co? Do jakiej Wenus? W imię ojca i syna! poganinem jesteście czy co u Pana Boga?

— A tak, jestem poganinem. Nie mógłbym patrzeć, na źle malowane obrazy, ani na brzydkie twarze świętych. Korzę się przed pięknym posągami, ale buntuję przeciw puciołowatym aniołom i bezmyślnym twarzom wybranych pańskich.

— Ależ jak Boga kocham z was heretyk, jakiego świat dawno nie widział. No, ale że lubicie piękne buziaczki, to temu znów tak bardzo się nie dziwię.

— Tak i powiem wam sąsiedzie, że godzinami przyglądać się nie mogę dziełom sztuki. Od pięknej twarzy nie mogę oczu oderwać. Pieszczę się nią, rozkoszuję, napawam, czeżę. Wogóle piękność uważam za znamię wyższości, za znak lepszego pochodzenia, za główne prawo istnienia. A dojrzeć prawdziwą piękność przedmiotu, sąsiedzie, to najwyższy stopień kultury do jakiej wznieść się można.

— Gwałtu! gwałtu! w głowie mi się kręci. Toż ja w imię waszej teoryi z moim pięknym buziaczkiem muszę stać na samym końcu drabiny społecznej. No, ale trzeba mi uciekać, bo

wobec tego wszystkiego nawet i jarmark może mi się już brzydkim wydać. Zegnajcie.

Bohusz podał mu rękę i uśmiechał się wzgardliwie, ale mu nie zaprzeczał.

Tego dnia pan Bohusz był w dobrem usposobieniu, ale po południu przyjechał wójt i za zaległe podatki zrobił mu zajęcie, więc zrozpaczony musiał znowu szukać pociechy w swem zwykłym źródle zapomnienia.

Wtedy to za najłżejszem podrażnieniem następowo wyładowanie się energii, burza.

Tym razem sprowadziła ją służąca jakimś drobnym przekroczeniem, więc z błyskawicami w oczach ku niej poskoczył.

Dziewczyną struchlała, ale w tejże chwili znalazła się pani Marya i jak zwykle w takich razach przyjęła winę na siebie. Wtedy gromy zahuczały nad biedną jej głową, a cały pokój w jednej chwili pokrył się gruzami zniszczenia.

Na szczęście wpadła Halinka. Teraz nie było już pogardy w jej oczach, nie było lęku na twarzy. Była tylko niezmierna litość i smutek i wstyd.

Zbliżyła się do niego prosząc.

— Pójdź, ojeze ze mną, pójdź.

A on patrzył na nią dziłkami, świecącymi się oczyma, groźny i piękny jak demon zniszczenia i mówił:

— Po co tu przyszłaś?... Czego ty chcesz? Ty poskromicielko dzikich zwierząt, czego ty chcesz? Jam przecie zwierzę... dziki zwierzę... Odejdź odemnie, dziecko... Nie patrz się tak... nie patrz takimi oczyma... Jam dziki zwierzę...

Ale ona prowadziła go ku kanapie i prosiła.

— Połóż się, ojeze, czytać ci będę.

A on posłuszny kładł się i nie spuszczał z niej wzroku, mówił:

— Magnetyczną siłę masz... w twoich oczach moc jest... a we włosach czar. Daj mi włosy twoje, przecież to są promienie słońca...

I pieścił się włosami dziewczynki i rozrzucał je pod światło, a w oczach jego przed chwilą tak groźnych odbijało się niebo zachwytu.

Ona wtedy brała ulubione jego książki i czytała głośno.

Oboje jednak baczyli, aby forma piękną była, aby w słowach muzyka była i rytm.

I nieraz dziewczynka gięstem zniechęcenia opuszczała książkę na kolana i mówiła kręcąc główką:

— To nie dźwięczy, tatusiu.

— To nie dźwięczy — powtarzał pan Bohusz.

I przerzucali książki, szukając formy wysnionej. Wreszcie pan Bohusz upojony czytaniem jej i słowami, zasypiał...

— Halu! czego ty płaczesz, Halu?!

Dziewczynka oderwała od książki zarumienioną od łez twarzyczkę i odparła.

— Sama niewiem, tatusiu.

Po chwili jednak widząc utkwiony w siebie badawczy i niespokojny wzrok ojca z pewnym zakłopotaniem, dodała.

— Może dlatego... że tak tu ładnie na tej polance i że... że... tak tu dziwnie w tej książce.

Pan Bohusz usiadł obok córki, wziął książkę z jej kolan, przerzucił kilka łzami zroszonych w niej kartek i dobry, miękki uśmiech zaigrał mu na ustach.

— To ja ci powiem czego płakałaś, Haniu. Oto te książki nagle przed tobą świat ideałów, pragnień, złotych marzeń, bohaterskich czynów i poświęceń otwarły i o miłości ci mówią, o miłości i niebie na ziemi... I tyś olśniona, zdumiona, tylu blasków, tylu cudów może nie spodziewałaś się tutaj. I serce twoje zaczyna bić radośnie, a główka marzyć szlachetnie. I wiesz, to jest właśnie chwila przełomu od dzieciństwa do dojrzałości, chwila, w której, zaczynamy zdumiewać się ogromem wszechświata, uczuwać piękno przyrody i przebudzenie się własnego ducha.

I wtedy świat ten wydaje nam się jakimś czarodziejskim światem, a nęcącym, a pięknym jak księżniczka w bajce, a życie snem jakimś cudnym i w ludziach samych tylko braci widzimy,

a w tajemnicach bytu—same tylko cuda i dziwy... Czy nie tak, Haniu?

Dziewczynka zaś podniosła nań oczy zupełnie promienne, taki był w nich zachwyt i zdumienie i mówiła jakby nagle przebudzona, ale jeszcze we śnie:

— O tak, tatuńciu... O tak!

— A widzisz. I wiesz, że im dłuższą jest ta chwila od przebudzenia się do zetknięcia z rzeczywistością i doświadczeniem, o tyle lepsza i bogatsza w szlachetne uczucia i chwile przepiękne, niebu wykradzione. Bo jak mówi poeta:

„Życia maj rozkwita jeno raz,

I tyle tęcz zapalisz na twem niebie

Ileś za młodu słońca wchłonał w siebie”.

Opary podnosiły się z nad łąk i szły ku górze ku lekkim chmurkom, które płynęły wśród błękitu niby krąg nieziemskich tanecznie zaróżowione, śnieżne lub mgliste i przepojone powietrzem i słońcem i siłą pędu i energią twórczą, goniły się lekkie, przejrzyste, rozwiane w coraz to nowe kształty i barwy.

A ciemny bór szumiał. Szumiał i patrzył ponuro na sad pobliski, który stał w kwieciu białych niepokalanych niby dziewieza oblubienica, bo świecił swe gody weselne.

Pan Bohusz i Hania rozumieli to dobrze, bo wiatr swawolnik roznosił te zapachy, obwieszczając to święto przyrody i sypał im na głowy wonnym kwieciem rozkwitłej jabłoni i na zielone kobierce kładł im śnieżne puchy pod stopy.

Pan Bohusz wsłuchany w tę namiętną pieśń wszechstworzenia tulił dziecko do piersi i pytał:

— Czy ty to rozumiesz, czy słyszysz, czy czujesz to piękno, Halinko?

Ona zaś ze złotą główką przytuloną do jego ramienia wśród tego kwiecia barwnego sama jak kwiat weielony, podniosła na niego oczy, w których się odbijało słońce i zaczęło mrugać niemi jakby w olśnieniu.

— Tak mi się chce płakać... tak płakać... i tak mi jakoś dziwnie... tatuńciu...

Jemu na te słowa twarz zmąciła się uniesieniem, a oczy mgłą zaszyły.

I przytuleni do siebie zapatrzyli się oboje w ten zmrok i zasluchali w tę cichą senność wieczoru.

A w ciszy tej przelewały się pieśni słowicze; ciepły podmuch wiatru płynął i lekka dotykał kwiatów na łące, one zaś potracone ukryte w zapomnieniu, a spragnione tuliły się miłośnic i w cichej tęsknocie słały za nim wonne westchnienia.

A motyle całowały już, jeszcze nierozwinięte całkiem dziecinne róże...

— Tatusiu—ozwała się wreszcie dziewczynka—powiedz, czy to w życiu tak bywa jak w książkach, czy ludzie tak kochają, tak czują, tak wierzą?

Wtedy on nagle opamiętał się i przeląkł. Oto przyszło mu do głowy, że to dziecko któremu on duszę rozgrzewał, będzie teraz potem wśród podłości świata z temi otwartymi ramionami, z tą duszą nadmiernie wrażliwą szukać daremnie szczęścia i ideałów wysnionych. I na tę myśl lekko go zdjął, więc wzdrygnawszy się, odparł żywo.

— Nie dziecko, ty sercem tego nie czytaj, bo tam jest albo uluda, której niema na świecie, albo gorycz wyrzuconych z siebie myśli, trucizna majających duchów, a tej się strzeż. I nie wierz w te wszystkie blaski, bo życie ludzkie rozprasza się na mnóstwo drobniańskich fraszek życiowych, bo światem rządzi surowa, a nieubłagana konieczność, a życiem wicherzy nieszczęście.

Umilkł, twarz mu sposępniała, chmurne oczy patrzyły w przestrzeń ponuro i dziwnym blaskiem świeciły.

— A wiesz ty, czemu jest nieszczęście? — ciągnął dalej, a głos jego przed chwilą łagodny stał się ostry i gwałtowny. — Nieszczęście jest grzechem, bo szerzy złe po świecie, nieszczęście jest kalectwem duszy, jest wiecznie odnawiającą się w niej raną i niczemnie zatartą blizną i skazą.

Nieszczęście nie hartuje i nie umacnia, o nie! Jak rysy na murze podkopują fundamenta, tak skazy na duszy rujnują odporność organizmu, siłę woli, zdrowie fizyczne i moralne. Nieszczęśliwy człowiek robi się tak chwiejnym, że go każdy prąd unosi, że gotów nawet podłość dopełnić, byle się od nowego ciosu uchronić. Biedny, nieszczęśliwy człowiek... Gdy go spotkacie, podajcie mu rękę przyjazną, lecz nie żądajcie wy nie od niego. On boi się własnego cierpienia i drży przed śmiercią, a życia się lęka i zło-rzeczy urodzeniu swemu, a choćby jedno czeił tylko, choćby tylko świętą pamięć swej matki i tej pamięci prędzej czy później zlorzeczyć będzie.

A przed Bogiem choć zegniesz kolana modlitwa jego jeno buntem, skargą a przekleństwem będzie. Tylko spokojne serca chylą się w pokorze i te tylko słowa, co płyną w niebiosach jako hymn dziękczynny, pochwalny lub błagalny, modlitwą być mogą przed Panem.

I nieszczęśliwy nie wierzy w Boże miłosierdzie, gdy sam tego miłosierdzia nie doznał, ani w jego wszechmoc, która nie dlań działać nie może, ani w jego istnienie (nawet, bo gdy go wzywa, gdy woła, gdy krzykiem rozpaczy, zda się, że piekło mógłby poruszyć, On mileży, On litościwy, On Pan i Bóg, On, co się przecie chce zwać Ojcem naszym!

Nie, nie jemu to czeić święte ołtarze, nie jemu zginać przed Bogiem kolana, nie jemu to cześć i hołd niebu oddawać...

I nagle urwał, bo przeraził go ten ostry dysonans, który sam wprowadził w tę cudną harmonję stworzenia. I serce mu się ścisnęło na myśl, że w każdym życiu choćby się w upojeniu zaczęło, tkwi ten zgrzyt nieszczęścia, choroby i śmierci. I mileżał zgrozą przejęty, bo rozumiał, że on takich namiętnych tonów bólu i takiego zgrzytu nie powinien był przedwczesnie rzucić w wrażliwą duszę swego dziecka.

Więc w milczeniu i w wielkim smutku ujął ją za rączkę i rzekł cicho.

— Chodźmy już, chodźmy, dziecię moje.

Powoli noc osuwała się na ziemię i rozpościerała nad nimi swój płaszcz królewski złotem przetykany.

I cisza stała się na niebie i ziemi.

Oni postępowali obok siebie w milczeniu. Hania myślała o słowach ojca, o tem państwie ducha, które się rozwija w człowieku i o owych nieszczęściach, zawodach i smutkach, które już pojmowała w głębi duszy, a Sokolnicki patrzył w niebo i pytał Boga, czy ją przynajmniej oszczędzać będzie.

I usta jego po raz pierwszy od lat wielu poruszyła cicha, a rzewna modlitwa.

On modlił się, modlił by Bóg jego ukochane dziecię ustrzegł od grzechu nieszczęścia...

V.

„W ciemnościach błędę zrodzony do świtu,
W prochu się tarzam choć, mógłbym żyć w zlocie,
Mógłbym być wielkim—leżę w hańby błocie,
Wzleciałbym—padam przez zagadkę bytu.

Jam nędzny żebrak, wszystkiego mi braknie:
Łaski pielgrzymiej i miecza do boju,
Jam człowiek, który nie zazna spokoju,
Dziś o myśl błaga—jutro chleba łaknie.”

Vrchlicky.

Położenie Sokolnickiego stawało się coraz gorzszym. Z każdym rokiem długi wzrastały i nie było żadnej nadziei ratunku.

Z początkiem wiosny wkradła się nosacizna.

Pewnego dnia oznajmiono mu, że drugi koń pada, pośpieszył więc do stajni i spotkał się z gasnącymi oczyma konia ulubieńca. Wybiegł jak szalony. Wiedział już, że tak padnie mu cała stajna. Była to straszna klęska. I nie dość na tem. Zboże mu wygniło, paszy zabrakło, musiał kupować nawet słomę. To wszystko było ostateczną zgubą. Teraz i ta nowa klęska przysłała na dobytek.

Wracał do domu, obliczając straty i patrząc w oczy ruinie.

A na świecie ruch powstawał. To wiosna szła oczekiwana, upragniona, znacząc swój pochód weselem, bo kędy przeszła, budziło się nowe życie. Kwiaty podnosiły senne głowy z ponad topniejących śniegów i poczynaly pić to powietrze, ptaki, budzić się i śpiewać upojone, nieprzytomne z radości. W powietrzu pełnym nagle ożywionych drgań, namiętnych nawoływań, tęsknot, czuć było świeże pędy wystrzelające w górę i odżyweze soki, które poczynaly pulsować i krążyć.

I szło ciepłe technienie co rzeźbiło kontury i kształty z powłoki zimowej i zaglądało już słońce niosąc z sobą tęczową grę swych barw, tonów, cieni, drgań i pojąc wszystko światłem i rozkoszą.

To wiosna grała.

Ale Sokolnickiemu to bujne życie sprawiało teraz ból. Szedł z głową zwieszoną, gdy z ganiku ktoś się porwał na jego powitanie. Krew uderzyła mu do głowy. Był to bowiem jego najgłośniejszy wierzyciel.

— Czy nie możesz mi już pan prolongować procentu spytał?

— Szanowny panie—odparł gość—zaszła taka okoliczność, że żonie mojej zachciało się wsi, przytem doktorzy ze względu na zdrowie gorąco jej to zalecają, więc potrzebując na kupno ziemni pieniędzy zmuszony jestem wymówić panu moją sumę.

Sokolnicki zbladł i ciężko opuścił się na ławkę.

— Widzę—podjął wierzyciel, że robi to panu różnicę, ale cóż ja mam począć, zdrowie żony i dzieci przedewszystkiem. A przytem sprzykrzyło się i mnie miasto. Tam teraz błoto, brud, gdy tu świeżość, zapach, tam nie ujrzyś takiego agrestowego krzaka już zielonego, ani takiej trawy młodej i pachnącej.

A Sokolnicki podparł głowę na rękę i przymknął oczy. Myśli mu się zmąciły i jak ogłuszony machinalnie jał powtarzać w duchu.

— Otóż przyszedł już koniec... koniec...

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Dziecko w poezji polskiej.

Szkic literacki.

Od chwili, kiedy po raz pierwszy na ziemi polskiej zabrzmiały dźwięki natchnionej „Pieśni”; kiedy naród ze zdumieniem i radością wsłuchiwał się we wzniosłe strofy „Psalmów”; z uczuciem dumy oglądał barwne malowidła „Proporca”, który ręką poety roztaczała przed jego oczami; kiedy w milczeniu niespokojnym słuchał w „Zgodzie” wyrzatów pieśniarza, gdy przybierając ton,—jakim w owych wiekach przemawiali zazwyczaj do niego jego przewodnicy duchowi, uważając pracę piórem za odmianę pracy na mównicy—ton moralizatorsko-dydaktyczny, nawoływał do obowiązków obywatelskich: naraz do uszu jego doszły ciche jęki boleści i tłumione łkania rzewnego płaczu ojca, nie mogącego się utulić po stracie umiłowanej dzieciny.

Ten cichy płacz boleści nie poruszył serce zahartowanych w walce z Turkami i innem pogaństwem, przeciwnie, wydał się rzeczą mniej przystojną: boć mężowi wstydem jest ronić łzy, jako niewieście; ale znalazł dźwięk właśnie w sercu wszystkich niewiast; przemówił do dusz, których walki na placu boju i zapasy sejmowe nie pozbawiły wrodzonej tkliwości, a raz wywołane nim uczucia szły spuścizną od wieku do wieku, przekazując obraz cudnej dzieciny z pokolenia w pokolenie; żyjąc w pamięci potomnych nawet wtedy, gdy potężne głosy późniejszych pieśniarzy zagłuszyły nutę pierwszego narodowego śpiewaka.

Bo też obrazek dzieciny, skreślony kochającą ręką ojca, jest w malowidle swem tak prawdziwy, tak szczerzy i naturalny, po upływie trzech wieków przeszło, farby w nim są jednak tak świeże, tak barwne i sozyste, jakby dziś wyszedł z pracowni malarza.

Pominawszy akcesorya ówczesnego smaku i mody, odgarnawszy na stronę ciężką klasyczną draperyę porównań mitologicznych, cóż za nią ujrzymy? Dziecko takie, na jakie z lubością spoczywają nieraz nasze oczy, pieszczotkę domową, której usteczka ani na chwilę się nie zamykają od rozkosznego szezebiotu i piosenek, która na odgłos kroków ojcowskich biegnie z okrzykiem radości, aby go pierwsza powitała, objąć drobnymi rączkami za szyję.

Słyszmy i wierzymy ojcu, że było to dziecko niepospolite, że żal po jej stracie potęgowały zawiedzione nadzieje, jakie pokładał w swojej Orszulce, widząc w niej spadkobierczynię swej poetyckiej sławy; że było to rzeczywiście cudowne dziecko: ale my nie widzimy tego, co było w niej niezwykłym, natomiast dostrzegamy tylko tych powabów, jakie prawie wszyscy rodzice podziwiają w swoich dzieciach, jak zdolność małej istotki w naśladowaniu starszych osób, ich ruchów, postaci, ukłonów, ten rozumek przedwczesny, gdy małeństwo usiłuje odegrać rolę dorosłej panny w ułożeniu, zabawach.

Jestto przedewszystkiem dziecko wdzięczne, miłe, rozkoszne, a przytem, według słów ojca, takie dobre, takie posłuszne; nie trzeba jej z rana nawet przypominać o paciorku, sama ona najpierwsza kłęką do modlitwy; nieczego się nie napiera, nikomu nie naprzykrzy, nigdy nie płacze.

Słyszając te pochwały, zdaje się nam, że zniknął pomiędzy nami przedział trzech wieków, bo czyż dzisiaj inaczej chwali się matka ze swoim dzieciąciem, zarówno w pałacu jak w chacie wieśniaczej?

Postać dzieciny jest równie wdzięcznie oddana jak jej ruchy, minki i uśmiech. Co za śliczny obrazek tego aniołka w białej koszulce, z jasnymi, kręcącymi się włoskami, o twarzyczce rozweselonej śmiechem.

Ale pomimo swej prawdziwości, pomimo całego wdzięku, obrazek Orszulkinie wryły się tak głęboko w serca nasze, gdybyśmy go nie oglądali poprzez poetyczną mgłę smutku i tęsknoty, płynącej ze zboląłego serca ojcowskiego.

Wszystko, co serce ludzkie czuć może w strasznej chwili utraty dziecka, wszystkie głębokie akcenty smutku, żalu, rozpacz, wszystkie tony duszy od bezwiednego okrzyku, wydanego pod uderzeniem ciosu, aż do zwątpienia w to, co stanowi moc i siłę w zwyczajnym biegu życia, wszystkie te tony smutne a głębokie złożyły się na rzewną symfonię, której dźwięki po wsze czasy będą budzić odgłos w tkliwych sercach.

Bo jakże to uczucie boleści ojcowskiej jest szczerze a pełne prostoty, jak w niem nie ma sztucznego, żadnej przesady, żadnej patetyczności, jakie tony głębokie, a prawdziwe:

„Niema cię, Orszulo moja! — Gdzieżeś mi się [podziała.

O! bogdajęś była nie umierała, lub nie rodziła [się!”

Oto słowa, jakimi wyrażała się boleść ojca. Widok ubrania dzieciny pobudza go do nowych łez, bo ona już się nie przyodzieje w te szatki. A oplakując swę stratę, zestawia, tak jak zwykły czynić każdy człowiek to, co jest z tem, co mogłoby być na przyszłość: nadzieję, jaką ta przyszłość budziła w jego sercu. Aż nękanie bólem i tęsknotą doznaje chwil zwątpienia, od jakich przystępu choć raz w życiu chyba żaden, najbardziej wierzący człowiek nie jest wolny i czyni sobie pytanie: czy rzeczywiście dziecina jego zniknąwszy w kształcie widomym z przed jego oczu, istnieje po za grobem? Gdzież sprawiedliwość? gdzie nagroda za dobre? — pyta zwątpiały; — wróg jakiś nieznany znęca się zarówno nad dobrymi jak nad złymi, a my wysilamy rozumy, aby dociec tajemnic, które Bóg zachowu-

je dla Siebie, i kto wie azali wszystko na tym świecie nie jest snem złudnym, który nas tylko mami?

Lecz tu już rozpacz jego doszła do kulminacyjnego punktu, poczem następuje naturalna reakcja: opadnięcie przypiływu fali, czyniącej spustoszenie w duszy, a więc ucieszenie i idąca tuż za tem rezygnacja. I cóż straciła, że jej oszczędzonym zostało przechodzić wszystkie te cierpienia i niedole, nieodłączne od życia ludzkiego? Uniknęła wszystkich trosk, wszystkich smutków, które jej jako kobiecie przypadłyby nieodzownie w udziale.

Teraz już pewni jesteśmy, że życie ojca wykolejone ze swych torów przez gwałtowne szarpnięcie rozpacz, powróci do równowagi, a żal i smutek, kłujące niby cierń w serce, przyjmą formę cichego, rzewnego wspomnienia.

Zwyczajny to proces uczuć ludzkich, ale też dlatego tak rozumiały, tak łatwo dający się odtworzyć w duszach nawet najprostszych, nawet najmniej skomplikowanych, i dla tego obraz Orszulki opromieniony nimbem tych uczuć przeszedł na własność ogółu.

Ani epoka bezpośrednio następująca po Kochanowskim, ani późniejsza pseudo - klasyczna, nie ożywiła dziedziny poezji przez wprowadzenie za jej bramy złociste istotek, których obecność rozwesela nawet niebo. Uczyniła to dopiero poezja romantyczna z całą różnicą kierunków i wyobrażeń wynikłych z ducha czasu.

Epoka Kochanowskiego, to epoka tworzenia się i kształtowania form poetyckich; to oglądanie się nieśmiało dokoła siebie dla znalezienia odpowiedniego kształtu do wyrażenia wewnętrznego uczucia: nie mistrzowskie rzeźbienie posągów linii, aby je ożywić wichrem własnego ducha; to odtwarzanie widomych form: nie orle wzloty w dziedzinę fantazji. Kochanowski odtworzył rzeczywistość: romantycy dali utwór własnej wyobraźni. Rzecz jednak znamienita i charakterystyczna: z epoki narodzin poezji naszej, pierwszy jej twórca i u szczytu jej rozwoju dwaj najznamienitsi jej przedstawiciele znajdują dla natchnienia swego przedmiot w świecie dziecęcym.

Jeżeli pominiemy w poezji naszej epizody, w których postacie dziecięce ukazują się przełotnie, okolicznościowo i drobne utwory liryczne niektórych poetów z doby romantycznej, jak: Syrokomli, Lenartowicza, Ujejskiego, to dopiero zastanówić się musimy nad Orciem w „Nieboskiej komedii” i nad „Eolionem” w poemacie „Wacław”.

Krasiński i Słowacki tak odmienni, tak zasadniczo różniący się umysłem, sposobem ujęcia rzeczy, naturą swego geniuszu, przekazali nam wśród swoich kreacji poetycznych postać dziecka.

Orcio to dziecko, którego niewinną główkę owionęło przekleństwo poezji. Matka jego zrozpaczona tem, że nie umiała duchem wznieść się na wyżyny natchnienia i skutkiem tego zatrzymać na własność serce męża, popada w szaleństwo i w chwili obrzędu chrztu, dokonywanego na dziecku, zaklina w niem ducha poezji, aby mąż, który ją opuścił, ścigając złudną marę, nie przestał kochać syna.

Przekleństwo matki spełniło się na Orciu. Duch poezji owiał swemi skrzydły niewinną jego duszyczkę. Dziecko rośnie blade, wątłe, jak roślinka przedwcześnie wybujała. A kiedy ojciec prowadzi go na grób matki i każe mu za jej duszę odmawiać modlitwę, Orcio poetycznie parafrazuje słowa pozdrowienia anielskiego i bezwiednie powtarza ujęte w rymy myśli matki, którą ogląda w widzeniu.

Jest to również nad wiek rozwinięte dziecko; przeważny rozwój ducha zabił wątłe ciało; organizm nie mógł podoląć bujnemu rozrostowi sił wewnętrznych, musiał uleść; nadezłość nerwów objawiła się u niego porażeniem organu wzroku i noc wieczna roztoczyła swe skrzydła nad nie-szczęśliwym. Koniec jego równie tragiczny jak życie: ginie ugodzony kulą na okopach Świętej

Trójcy, dokąd schroniły się niedobitki, którym przewodził jego ojciec.

Smutne dziecko i smutne koleje jego losu! Eolion, to nie postać, to zjawisko, miraż cudny, odbity wśród murów pałacu, w którym graf Wacław pędzi życie potępieńca, budząc grozę i trwogę, jest czemś bladym, wątłym, niewyraźnym, dziecko cudne, „o twarzyczce ducha”, biedne, obłąkane, dopiero wznosząc się w sfery barw i tonów, wśród cichej nocy, wysrebrzonej blaskiem księżycy, przy szmerze kaskady, w chwili „gdy róże płaczą, a labędzie płyną”, postać jego przemienia się w czarodziej-skie widziadło: ukazuje się w grocie, okryty płaszczem z gwiazd złocistych, duchy powietrzne podają mu harfę płomienną, a kiedy ze strun ognistych wydobył zaczarowane tony, powstał szelest skrzydeł, bo „wszystkie się razem labędzie podniosły” i „poleciały płaczącym orszakiem”, „jak girlandami spięte białe róże”, poleciały za harfą i za Eolionem, aby dosłuchać pieśni i zniknęły na gwieździstym niebie.

Oto prześlizgnęła się trójca, przekazana nam od naszych mistrzów poezji. Najpierw zjawia się przed nami dziewczeczka jasna, uśmiechnięta, pełna naturalnego życia, swobody i wesołości; obok niej widzimy melancholijnego chłopczykę, niby symbol poezji, uosobiony w postaci dziecka, a przed tem dwojgiem unosi się nadziejskie zjawisko, ubrylantowane wszystkimi barwami tęczy z rozrzutnością, z jaką król-bogacz stroił wszystkie dzieci swojej fantazji, zjawisko małego cheruba w gwiazdzistej szacie, z gorejącą harfą w ręku, płynącego szlakiem gwiazd w orszaku skrzydlatych labędy.

E. Jerlicz.

Wanda Grot Bęczkowska.

ANIMA VAGANS.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Grudzień.

Mój pamiętnik!..

Wyciągnęłam ręce jak do istoty żywej, która mnie zawsze pojmowała, cierpiała wraz ze mną i której otwierałam serce bez obawy.

Jak dawno, dawno już leżał on zamknięty w szufladzie mego biurka.

I to nie przez zapomnienie, nie przez zaniedbanie, a tylko poprostu ogarniała mnie trwoga, gdy chciałam do niego zajrzeć.

Ból, ból i zawsze ból... Gdzie okiem rzucisz zawód, rozpacz, walka wyziera ją z poólkłych kartek...

A jednak wargi spragnione do nich przyciskam, wchłaniam w siebie ostry, zapach zasuszonych liści i kwiatów któremi przekładałam niekiedy kartki.

Pamiętki z Bolkowa, z Oleszyna, z grobu mamusi i te, zrywane niedawno z Markiem na wsi wśród olch, na łące...

Mnie się wydaje, że to niedawno i zapominam, że ziemia, lasy, wszystko w około skrzy się w grudniowym słońcu od srebra i brylantów i że ta wiosna którąśmy razem spędzali na wsi, ustąpić musiała latu, lato—jesieni, jesień—zimie...

Co to? Łzy? Płyną.. Płyną, a ja ich zatrzymać nie chcę, nie mogę. Bo to doprawdy nowość dla mnie. Nie płakałam tak dawno i w ogóle, ja rzadko płaczę...

Ach, te nerwy... przeczulenie... straciłam już oddawna ochotę do walki z niemi. Wola, nad którą zapanowały wszechwładnie, zasypia, jak

wszystko we mnie. Taki półsen—oby trwał jak najdłużej—daje mi przedsmak spokoju.

Boże, Boże jak ja go pragnę... Niechajże już raz nareszcie to trzepocące się serce jak biedny, uwięziony ptak, zamilknie.

Sześć lat nie pisałam... Sześć lat! Ile to dni, godzin rozpaczliwie smutnych, posępnych, szarych...

Dopiero Marek... Dziwne spotkanie! Dzień jesienny, mglisty, taki dzień co to wywłóczy z pierśsi ludzkiej przyczajone tam jęki, budzi echa przeżytych cierpień.

Deszcz pada. Wolno, jak gdyby sennie spada kropla po kropli, niebo przypomina zsiadłą galaretę, ziemia pod stopami ugina się rozmiękla, wszędzie w okół szaro, szaro, nawet twarze wyglądają jak zgaszone.

Szłam Zjazdem ku domowi.

Uczyliłam właśnie ostatni już chyba wysiłek w celu zdobycia niezależnego od ojca kawałka chleba.

— Czy pani posiada kwalifikacje naukowe? — spytał mnie właściciel sklepu.

Kwalifikacje naukowe?

Prawie nie pożegnawszy się, ze sklepu wybiegłam.

Że też ja o tem zapomniałam, iż chcąc czemś być, trzeba coś umieć.

Szłam wolno, nie czując przenikliwego zimna, od którego jednak tężały moje ręce i nogi.

Ile to już wycieczek takich odbyłam w ciągu ostatnich lat... I nie... To „*nic*” to takie małe słówko, a jednak, jak się w mózg wsrubuje, oszaleć można.

Tam, w domu, w tych dwóch pokojkach na Bednarskiej, zastanę panią Maryę leżącą na starej kanapie z nowelami Maupassant'a, lub powieścią Zoli.

Wezrytuje się, zachwyca, przeżywa zda się drugą młodość wraz z bohaterką książkową, żyje prawie jej życiem, jej namiętnościami obca temu, co się w okolo niej dzieje.

Infant pani Maryi napelnia pokój wrzaskiem, turkocąc drewnianym wózkiem w którym wozi zazwyczaj starą, piszczącą kotkę. Biją się przystem z Halą i sprzeciwiają sobie wzajemnie przyłada sposobności i ta jedna para dzieciaków, wystarczyłaby niewątpliwie do wywołania choroby nerwów u najsilniejszego osobnika.

Wieczorem powraca ojciec i Roma.

Ojciec zaczyna powitanie od słów:

„Ze też was jeszcze wszystkich najjaśniejsze pioruny” itd... Roma którą skrofuły i anemia zmieniły nie do poznania, powtarza zwykłe „Gdzie ja tu kąć jaki w tem piekle znajdę, abym mogła na jutro wykończyć pół tuzina tych przeklętych krawatów...”

Roma i krawaty... Roma przepędzająca dzień cały w towarzystwie dziewczyn, mówiących z całą swobodą: „Zaczepił mnie dziś na ulicy jakiś facet...”

Moja czysta, moja szlachetna Roma z tym subtelnym, bogatym umysłem, z tą duszą wrażliwą jak kwiat ku słońcu otwierającą się do życia... O! to zbyt bolesne, okropne!...

Niania która przyszła nas wczoraj odwiedzić, powiedziała mi z wyrzutem: „zmarowaliście dziewczynę...”

Wpadło to w mój umysł znękany jak iskra i czuję, że głowa moja płonie i że to określenie niani szczere, a okrutne ściagać mnie będzie w każdej chwili mego życia.

I to wzbudziło hydrę wspomnień... O! od takich wspomnień skryćbym się chciała pod ziemię nawet tak szarą, brudną, rozmiękłą, jak ta, którą stopy moje wówczas deptały.

Bo czy można powstrzymać się, aby nie złożyć temu, kto ci dał życie i z całą świadomością na męki skazał... A przecież istnieje jakaś tam etyka moralności, która wyklucza sąd dziecka o czynach ojca... Nieporównana! Kultura w swym pochodzie zwyciężkim nie zaczęła dotąd o kwestyę tak błahą jak związek dwojga ludzi z których jedno idzie na prawo, drugie na lewo. Któżby też myślał o tem, że ze związku tego powstać może pyłek drobnutki,

jednostka, na której przechadzka rodziców w przeciwne strony, zacięży krzywdą ogromną, bez nadziei jakiegokolwiek ratunku.

Światło nie przeniknęło jeszcze umysłów matek oddających córkę pierwszemu z brzegu w myśl zasadzie: Treścią życia kobiety, jest zamążpójście... Nie przemówiło do uczciwości mężczyzny, którzy zbyt często, niestety, ofiarują młodej dziewczynie resztki uczuć, zdrowia, strzępy zbrukanego w hulaszczem życiu honoru.

Marek powiedział mi kiedyś, ale to jeszcze w początkach znajomości naszej: „Jak jabym chciał wiedzieć, co ten chory duch pani przetrawia w sobie...”

Marek... Ale niechże na tych kartach przynajmniej zostanie postać jego taka żywa i piękna jaka istnieje w mych wspomnieniach, w mojem sercu.

Spotkaliśmy się w ten szary poranek listopadowy, kiedy krople deszczu uderzały w moją twarz, a jam tego nie czuła, pochłonięta myślami, rozgoryczona zawodem jaki mnie spotkał.

Nagle, z Krakowskiego Przedmieścia wysunął się jednokonnny karawan skręcając ku Wiśle.

Na karawanie kołysała się trumna, czarna niezgrabna, jakby na prędce sklecona, taka prosta, taka uboga...

Za trumną nikogo.

Spojrzałam zdumiona.

Czy to możebne? Więc nikt garści piasku nie rzuci na te szczątki sieroce, nikt pacierza nie zmówi o spokój wieczysty...

Uczułam smutek ogromny.

Ten i ów z przechodniów przystanął, pokiwał głową, popatrzył i poszedł dalej. Karawan toczył się wolno ku Wiśle, na świeżo pomalowanej trumnie krople deszczu znaczyły plamy wilgotne.

Zbiegłam szybko z chodnika i właśnie w chwili tej, kiedy stanęła przy trumnie, z przeciwległej strony nadszedł on... Marek.

Wtedy nie spojrzałam nawet na niego. Szliśmy razem obcy sobie, nieznanymi... Czułam tylko coś jak gdyby wdzięczność, za tę pocziwą dla opu szczonego biedaka litość.

Na cmentarzu dopiero spojrzeliśmy na siebie. Uderzył mnie wyraz spokoju jakim cała postać Marka zdawała się nacechowana.

To były rysy wykute, wyrzeźbione rysy poważnego, myślącego człowieka.

Pod brwiami czarnymi, oczy bardzo rozumne, piękne, ale chłodne o stalowym połysku. A takie przenikliwe, że mi głęboko, do dna duszy sięgnęły.

Obiejrzałam się w około.

Byliśmy sami.

Przed nami świeżo usypana mogiła, nad nami niebo rozplakane, smutne...

Wysoka postać Marka odcinała się tak wyraźnie i taką ją widzę zawsze.

Jakie to dziwne, że znaleźliśmy się tam sami, jedną popehnięci myślą...

Powróciłam do domu zdenerwowana szalenie.

Śmierć, którą dotąd wyzywałam, wydała mi się czemś straszmem.

Och, za nie nie chciałabym umierać w taki dzień bezbarwny, posępny...

Uparta myśl powracała wciąż na cmentarz, czepiała się świeżej mogiły biedaka, odrzucała złoty piasek i wpijała się z dziką ciekawością w czarne deski, jak gdyby przebić je chciała.

A gdy wieczór nadszedł, jeszcze większy strach mnie ogarnął.

Bo jaka tam pustka na cmentarzu... Krzyże tula się do siebie, pomiędzy nimi chodzą szare cienie, z drzew przeciążonych spadają takie ciężkie lzy...

Uciekłam z pokoju do kuchni. Tu jaśniej, weselej... Za oknami tylko wichery wyprawiał harce i wyl, wyl przeciagle...

Co ja z sobą pocznę... Tak mi źle...

Wspomniałam Marka. Spokój jego zaczął oddziaływać i na mnie.

Czułam to zimne spojrzenie, widziałam białe,

odkryte czoło, po którym wichery chmurę czarnych włosów rozwiewał.

Jak jabym chciała wywalić sobie taki spokój, taki chłód...

I ogarnęła mnie chęć ogromna zobaczyć go jeszcze, poznać i to pragnienie dopiero zerwało tok dręczących myśli.

Myślałam już tylko o nim, czyniłam porównania.

Tak! To był dopiero człowiek!

Z wiosną wyjechałam. Ciocia Mila pisała do mnie, prosząc, abym odwiedziła babcię chorą i bardzo już zniedołężniałą.

I tam, poznałam Marka.

Uderzyło to we mnie jak zapowiedź szczęścia. Szczęścia? Alboż ja byłabym zdolną odczuć je... Boże, Boże, we mnie już taka otehtań smutku... Taka gorycz i zwątpienie... I tak uciekałam od ludzi...

Marek przyjechał na kilkutygodniowy odpoczynek do swego wuja proboszcza, który częstym u babci był gościem.

Nie wiedząc o niczem, wybrałam się w sobotę na Nieszpory.

Kościół był pusty, mroczny, tylko na Wielkim Ołtarzu paliło się świec parę.

Usiadłam w ławce i zaraz objęła mię bezmier-na zaduma, zabierająca w posiadanie całą moją istotę.

Ukryłam twarz w dłonie i poddałam się mistycznemu urokowi tej chwili. Jak długo siedziałam, nie wiem.

W uroczystą ciszę wpadł nagle odgłos kroków organisty idącego na chór.

Kilka akordów przegrywki i od Ołtarza' dźwięczną falą popłynęły słowa: „Deus in adiutorium meum intende...”

Wysłuchana w podniosłą melodyę Psalmów, nie mogłam się modlić.

Dopiero powstając na Magnificat, odjęłam ręce od twarzy i oczy moje padły na drzwi zakrystyi przy których stał Marek.

Rzecz dziwna! Zobaczywszy go nagle anim się zadziwiła, ani zbytnio ucieszyła. I ta chwila dopiero dała mi poznać, że ja nie zapomniała o nim i miałam pewność, że go spotkam.

We wzroku jego wyczytałam, że i on mnie poznał; wydało mi się, że ta twarz posępna rozjaśniła się...

Wieczorem, przyszedł do nas z proboszczem.

Z początku nie mówiliśmy nic do siebie. Tylko niekiedy spotykałam wzrok jego badawczy, utkwiony we mnie.

To mnie męczyło. Wysłałam do przyległego pokoju i siadłam do fortepianu

Bezwiednie z pod palców wypłynęła melodia zasłyszanych na Nieszporach Psalmów.

Drzwi otwarły się z cicha i Marek wszedł...

Grałam wciąż, nie przerywając.

Marek zakrył oczy dłonią i słuchał.

— To szczególnie! — ozwał się głosem cichym i ogromnie miłym — jak myśli nasze się jednoczą... Pamięta pani?... Dzień jesienny, smutny, rozplakany...

Opuściłam ręce na klawisze bezwładnie.

Cały ten obraz stanął mi przed oczyma i mimowoli kończyłam: ...Nagie drzewa cmentarne wydawały taki suchy dźwięk szkieletów, kiedy wichery rozszalały pędzący z pół, dopadł ich i porwał w uścisk bolesny... A potem... ten loskot sypanej na trumnę ziemi...

Wzdrygnęłam się.

Marek stanął, obok mnie wsparłszy się o pianino.

— Wie pani? Zachodziłem nieraz na mogiłę tego biedaka, którego razem odprowadzaliśmy. Ciągnęła mnie tam myśl o pani. Takie pani miała smutne oczy, że długo potem przeszkadzały mi w pracy.

Spojrzałam na niego.

Z jaką dokładnością przechowałam w pamięci jego rysy.

I nagle stał mi się taki bliski, że zaczęłam mu opowiadać, jak wychodząc na miasto, wśród twarzy obcych mi i wstrętych, jego zawsze upatrywałam. I wiedziałam, że się spotkamy.

Rozmawialiśmy jeszcze długo, a gdy odszedł ogarnęła mnie tęsknota i myślałam już tylko o tem, kiedy go znów zobaczę. W nocy nie spałam.

Od pewnego czasu, każde silniejsze wrażenie tak fatalnie wpływało na nerwy i sen odbierało.

Nasz ustrój domowy zmarnował nas nietylko moralnie... Czasem czuję się tak wyczerpaną, bolesne klócie w sercu tamuje oddech i wtedy, wobec tego ogromnego zmęczenia, nawet śmierć mnie nie straszy. Ileż to nocy spędziłam bezsennie przy mamie, przy chorych dzieciach, a na koniec ten nieznośny dzieciak pani Maryi, nie mówiąc już o atakach wątrobianych ojca powtarzających się nazbyt często...

Marek bywał u babci codziennie.

Odbywaliśmy długie przechadzki, a jam tak do niego przywykła, że mu całą biedną moją duszę otwierałam.

I o dziwo! Zamiast jak tamci, odsunąć się odemnie, on jeden mnie zrozumiał i kość ból potrafił.

— Paulo—mawiał nieraz—ty nie wiesz, jakem cierpiał. I oto wszystko minęło i takim spokojny...

Pamiętam dzień radosny, kiedy ojciec mój, maleńkie figurki przezemnie z chleba ulepione, pokazał znawcom i ci orzekli, że mam talent duży.

Jak oni się cieszyli, biedni moi rodzice, marząc o świetnej dla mnie przyszłości.

I pamiętam, że wówczas nie mnie nie zrażało. Ani buty dziurawe przez które w porze deszczu przepływała woda, ani głód, ani drwiny kolegów, taki wielki zapal był we mnie i taka chęć ogromna zdobycia pieniędzy. Nie dla siebie, Paulo! Ale tyle nędzy widziałem w około i marzyłem, że dla każdego będę mógł coś uczynić.

Tem cięższy był zawód.

Nie doszedłem dokąd zamierzałem i oto stoję bezsilny...

Położyłam mu obie ręce na piersiach.

Jaki on wielki, ten mój Marek!

Wziął moje ręce i przycisnął mocno, mocno mówiąc dalej:

— Uczyłem się, dopóki ojciec mógł zarabiać... Potem śmierć przyszła i zostałem jedynym opiekunem matki i małej Anki.

Rzuciłem studia. Należało szukać pracy, która dała chleb...

Paulo! Pomyśl z artysty, któremu wrota świątyni sztuki szeroko otwarto, stałem się wyrobniikiem.

I teraz w kamienne twarze zakuwam lzy, tęsknotę, rozpacz i ból dusz cierpiących.

I wiesz, Paulo, zdaje mi się, że wykuwając te grobowce dla innych, stawiam je swej przyszłości.

Ach, com ja przeżyła słuchając go. Wszystkie własne moje męki odżyły, spotęgowane bólem tego kochanego.

Po każdej rozmowie takiej, brał moją twarz w obie dłonie i wpatrując się mówił miękko:

— Szare życie, smutna dola!.. Prawda?

W końcu maja powróciłam do Warszawy. Marek i tu był codziennym gościem. Nie go nie raziło, nie rze zniechęcało. Przeciwnie. Widząc mnie znękaną, umęczoną brał mnie na stronę i z właściwą sobie słodyczą pytał:

— Paulo, czy nie mógłbym ci w czem dopomóc? Pamiętaj, że moje myśli, moja dusza, wszystko, co posiadam, należy do ciebie.

Dziś, kiedy przebiegam myślą te kilka miesięcy razem przeżytych, widzę, jaki on inny, niż Edward.

Ale bo też i kochanie nasze jest inne.

W Styczniu.

Mój drogi Marek jednej chwili chciałby mnie wyrwać z tej otchłani.

— U matki mojej, Paulo, spokój i cisza. Powrócą ci siły. Przecież i my mamy prawo do odrobiny szczęścia...—mówił.

Uśmiechnęłam się gorzko i odpowiedziałam cudnym wierszem Or-Ota:

...Mój promyzecek w łzach mi zgasł,

Niech się innym pali,

Do odlotu czas mi czas,

Ktoś mnie woła z dali...

Tak, Marku! Mnie prędzej do odlotu, niż do szczęścia.

Bo i cóż ja ci ofiaruję? Stargane siły, duszę chorą...

Marek z trwogą spojrział na mnie.

— Nie przerażaj mnie, Paulo—prosił.

— Ty będziesz jeszcze zdrową, szczęśliwą... Zobaczysz, malutka...

I przygarniał mnie do siebie z pieśczęcią.

Wieczór. Godzina dziesiąta.

Boże, Boże, jak ja strasznie cierpię! Mimowoli przekleństwo ciśnie mi się na usta. Za co ja tak cierpię?

Dla czego innym, może tak samo jak ja nie szczęśliwym, dana jest przynajmniej bezmyślność, która nie pozwala im w całej rozciągłości poznać niedoli własnej. Taka jednostka bezmyślna jeśli trafi jej się sposobność do osiągnięcia odrobiny chociaż osobistego szczęścia, nie bacząc, że w przyszłości może to być zgubą dla innych, bierze je z zupełnym spokojem.

Ja, nie mogę. To byłoby niekzemne, gdybym mając tak bolesny przykład w naszej rodzinie, chciała stworzyć coś podobnego.

Nigdy! Przenigdy! Chociaż wiem, że to zrzeczenie się szczęścia, zabierze mi resztę sił i życia, wytrwam.

Mamo, mamo, dopomóż mi!.. Przecież wspomnienie twego męczeńskiego życia powinno mnie powstrzymać.

Muszę stanowczo pomówić z Markiem.

(Dokończenie nastąpi).

Myśli Deotymy.

Obojętnością, niby letnią wodą,

Zgaszą pochodnię Oświaty.

* * *

Księgi mówiły, ludzie mi mówili,
Że wszystko mylnie, lecz jedno, jedyne
Przecucie serca, nigdy nie omyli.

* * *

Miłość się miłością mści!

* * *

...Miłość Muzy groźna, bo skrzydlata.
Im duch namiętniej ku niej się przybliży,
Tem ona dalej odlata,
Ale na to odlata, by pociągnąć wyżej.

* * *

Każda fala swą boleść przynosi z kolei.
Do brzegów, co widziały początek żeglugi,
Nikt nie wróci. Lecz płynmy! Ach, jest
[i brzeg drugi,
Tam zatknijemy kotwicę spełnionej nadziei.

* * *

Postępu żadne ryszunki nie chronią.
Dość tej pochodni, te skrzydła wystarczą,
Nieścigłość lotu jedyną mu tarczą,
A światło jedyną bronią.

* * *

...Tłuszcza małodusznych ludzi,
Zakosztowawszy leniwej wygody,
Gniewa się, gdy ją kto budzi.

* * *

...Każda ludzka dusza,
Co bohaterko idzie przez boleść i trud,
Jest jedną chwilą w dniach Prometeusza,
Bo Promeusz, to człowieczy ród.

SPROSTOWANIE.

W № 1 „Bluszczu”, w artykule „Or-Ot” zaszyły następujące pomyłki druku:

Str. 5 szp. 1—*elektryczną*—powinno być: *eklektyczną*. Str. 5 szp. 2—zamiast: *przecie*, powinno być: *poecie*. Str. 6 szp. 1—*zmuszony* powinno być: *znużony*. Str. 6 szp. 2—zamiast: *wzdychać*, powinno być: *usychać*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: *Na falach losu*, powieść przez Artura Dourliac, przekład z francuskiego Z. S. ark. 3 i *Jedyne moje dziecko*, powieść przez Florence Marryat, przekład z angielskiego Z. S. arkusz 8.

Treść: *Wizya idealizmu*, wiersz, przez Zygmunta Różyckiego. — *Ruch kobiecy w Norwegii*, przez W. — *Więzy ducha*, powieść przez Saryusza. — *Dziecko w poezji polskiej*, szkic literacki, przez E. Jerlicza. — *Anima vagans* powieść, przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — *Myśli Deotymy*.

Dodatek obejmuje: *Na falach losu*, powieść przez Artura Dourliac, przekł. z ang. Z. S. i *Jedyne moje dziecko*, powieść przez Florence Marryat, tłumaczenie z angielskiego Z. S. — Przegląd mód, 17 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycję obiadu.